

OMÓWIENIA, POLEMIKI, RECENZJE

MARCIN KULA
Warszawa

PIERWSZE LATA WOLNOŚCI

Dramat Leona Kruczkowskiego z 1959 roku nosił tytuł *Pierwszy dzień wolności*. Autor, najpewniej zainspirowany własnym doświadczeniem, przedstawił oficerów z oflagu przez kilka lat marzących o końcu wojny, przed którymi otworzyły się bramy i... no właśnie, wymarzona wolność okazała się trudna.

W sześćdziesiąt lat po wojnie Marcin Zaremba przyjrzał się, jak naród, przez kilka lat marzący o końcu wojny, wszedł w okres powojenny¹. Niektórzy z nas te lata pamiętają. Sam znakomicie pamiętam Warszawę w ruinach, napisy cyrylicą na domach i ruinach Żoliborza „Min niet — Żygajło” (tak nazywał się dowódca grupy rozminowującej). Potem zapamiętałem budowę Trasy W-Z. Z czasem słyszeliśmy, że „cały naród odbudowywał swoją stolicę”. Jeszcze później od jednych słyszeliśmy o leśnych bandach, od drugich — z czasem — o „żołnierzach wyklętych”. Słyszeliśmy o procesie szesnastu, ale od innych znów o powojennym entuzjazmie. Czytaliśmy o konfliktach

polsko-ukraińskim i akcji „Wisła”. Także o pogromie kieleckim i emigracji Żydów. Do dziś dużo o tym wszystkim napisano. Zaremba jest wszakże pierwszym, a jeśli nawet nie pierwszym, to jednym z nielicznych, którzy przyjrzeni się latom 1944–1947 wszechstronnie i z punktu widzenia przeciętnych ludzi, także z punktu widzenia najpowszechniejszych zjawisk ich dotyczących. No i dominującym akcentem w zarysowanym przezeń obrazie nie jest ani entuzjizm odbudowy Warszawy, ani entuzjizm dla dalszej walki o niepodległość, ale „po prostu” strach. Strach poniekąd przed wszystkim — równie dobrze (i na dobrym miejscu!) przed żołnierzami radzieckimi, jak przed napadami, w których zacierało się, kto i w imię czego napada. Przed zaminowaniem obiektów i terenów, przed chorobami, przed dokwaterowaniem obcych ludzi do mieszkań. Strach związany z bezpośrednio powojenną, beznadziejnie przeprowadzoną wymianą pieniędzy, o której dziś już nawet prawie nikt nie pamięta. Strach o los Kościoła. Strach przed Żydami jakoby porywającymi chrześcijańskie dzieci i przed Ukraińcami — a z drugiej strony strach Żydów napotyających wrogość po pięciu latach gehenny i pewno też strach Ukraińców lub/i Białorusinów. Również strach Niemców.

Adres do korespondencji: j.m.kula@uw.edu.pl

¹Marcin Zaremba, *Wielka Trwoga. Polska 1944–1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Znak–Instytut Studiów Politycznych PAN, Kraków 2012, stron 694.

Książka ta staje na poczesnym miejscu wśród opracowań z najnowszej historii Polski. Zawodowo jest znakomita. Z punktu widzenia stopnia wykorzystania źródeł zaspokoi wymagania nawet tych historyków, którzy przerabianie archiwów uważają za jedyne zajęcie godne historyka. Prawda, w historii najnowszej zawsze można jeszcze coś znaleźć, ale ja jestem pod wrażeniem tego, do czego autor dotarł. Zwróciła moją uwagę różnorodność wykorzystanych źródeł, w tym wielokrotne użycie w tym charakterze literatury pięknej.

Obszerna baza źródłowa szczęśliwie nie jest jedyną zaletą książki. W znanym dylemacie, czy siedzieć i czytać źródła, czy myśleć, pytać i rozwijać wysunięte koncepcje, autor odpowiedział: „należy robić jedno i drugie”. Drugą, podstawową zaletą recenzowanego opracowania jest szerokość prowadzonej analizy oraz jej wysoki poziom intelektualny. Ponieważ autor zarysowuje anatomię strachu tej epoki oraz rozważa jego typy i przyczyny, musi wejść równie dobrze w historię polityczną, kryminalną, ekonomiczną, dzieje stosunków międzyetnicznych na danym terenie, jak i w wiele dalszych spraw. Mało kto umie tak szeroko poruszać się w historii i mało kto ma po temu kompetencje.

Wszystkie owe strachy i niepokoje składały się na tytułowe zjawisko „wielkiej trwogi”. Prawda, że naturalna u każdego autora koncentracja na temacie mogła wywołać pewien przerosł jej wielkości i wagi. W końcu nawet w obliczu wszechobecnego strachu nie wszyscy boją się przez 24 godziny na dobę. Wywód autora jest jednak przekonujący. Trwoga, o której mowa, była zjawiskiem samoistnym, mającym znaczenie inne, większe niż suma strachów płynących z różnych przyczyn. Miało ono specyficzny wpływ na zachowania ludzkie. Ówczesne agresje przeciw Żydom, choć niewątpliwie podbudowane antysemityzmem oraz bez dwóch zdań skrajnie naganne, rysują się jednak odmiennie w świecie, w którym wszyscy boją się wszystkich i reagują agresywnie przeciw komu się da.

Rozważenie typów strachu oraz „Wielkiej Trwogi” jako całości prowadzi do zagadnień fundamentalnych dla najnowszej historii Polski. Część strachu generowała sama władza. To jasne. Wielokrotnie pojawia się w książce motyw,

że ludność porównuje NKWD i UB do gestapo. Można jednak pytać, dlaczego w tym wypadku władze jednak złamały ludzi strachem świadomie generowanym — choć hitlerowcom się to nie udało? Dlaczego komuniści uzyskali przynajmniej konformizm, a nie mniej okrutni hitlerowcy nie? W odpowiedzi można domniemywać, że tytułowa trwoga ułatwiała sytuację nowych władz — z dwóch powodów. Mało co tak dezintegruje społeczeństwo jak strach, a dezintegracja leżała w interesie władzy. Drugą przyczyną to ta, że w warunkach strachu, generowanego niekoniecznie przez władze, lecz także przez znacznie szersze czynniki, ludzie zaczynają chcieć, by jakakolwiek władza w końcu zapanowała nad sytuacją. Nie był to z pewnością czynnik jedyny. W zestawieniu z okupacją istotne było chyba również to, że w stabilizację władzy Hitlera — póki trwała wojna — mało kto wierzył, a ZSRR wydawał się, zgodnie ze słowami hymnu, „wskrzyszony na wieki przez potężną Rosję”.

Autor pisze między innymi o strachu tymczasowości; o tym, że ludzie bali się przejściowości w różnych, większych i mniejszych sprawach życiowych. Można powiedzieć, że taki strach przed niestabilnością różnych rozwiązań istniał w całym okresie PRL — zasadnie. Jednocześnie przecież wydawało się nam, że podstawowe elementy struktury nie zmieniają się, że raz stworzone instytucje trwają jak opoka, że nawet ludzie u władzy trwają latami; w sumie rzucała nam się w oczy stabilność. W przeświadczeniu o niej nieraz wręcz nie chcieliśmy lub nie potrafiliśmy docenić zmian, jakie jednak zachodziły. Przekonanie o beznadziejnej stabilności sprzyjało współpracy z władzami — uczciwej lub mniej uczciwej — po wojnie i później. Zresztą, bardzo trudno było przez czterdzieści lat odwracać się plecami od wszystkiego. Można było przeżyć pięć lat okupacji „życiem na niby” (Wyka). Nie było pociągające przeżycie całego życia „na niby” — i w praktyce nie było to możliwe (Zaremba przytacza ciekawą uwagę profesora Świeżawskiego, który w jakimś momencie doszedł do właśnie takiego wniosku).

Trudno też było odwrócić się plecami indywidualnie, gdy większość tak nie robiła. Co nie najmniej ważne, może opór zmniejszył także

polski, mimo wszystko, charakter odradzającej się struktury? Innej Polski nie było. Polski Londyn, mimo chwały, jaką się go dzisiaj otacza, nie był jednak tym, czym dla Kubańczyków jest dzisiejsze kubańskie Miami. Znaczenie miała też najpewniej zręczna taktyka komunistów, którą autor studiował w swojej poprzedniej książce². Dla pewnych grup, choć dziś wydaje się to mało zrozumiałe, proponowana droga mogła być w końcu atrakcyjna.

Pytań o to, czy zjawiska stwierdzone przez Zarembę w latach 1944–1947 trwały w PRL, można postawić więcej. Wtedy, w obliczu bandytyzmu, antysemityzmu i rabunków, władze, niepomne, że w istotnym stopniu same lub/i z pomocą wielkiego sojusznika tworzyły tę atmosferę, umacniały swoje przekonanie, że jest to naród do gruntownego przeorania. Paradoksalnie jakoś godziły teoretyczną wizję o byciu samemu emanacją narodu (klasy robotniczej) i przekonanie o potrzebie pokierowania nim (nią). Władze komunistyczne oraz wtedy jeszcze im bliskie niekomunistyczne środowiska lewicowe były pod wrażeniem (nie bez powodu!) Polski zdominowanej przez myślenie endeckie. Wówczas zyskały wzmocnienie swoich przesłanek — jeśli go potrzebowały. *De facto* przekonanie o okropności narodu przetrwało wśród władz dopóty, dopóki następne pokolenia wśród nich same nie doszły do wniosku, że lepiej jest przyjemnie i bogato żyć niż budować nowy świat. Wtedy pozostała im walka o nagą władzę lub rezygnacja za znośne zamienniki.

Zaremba opisuje ruchy studenckie i uczniowskie w maju 1946 roku. Zaznacza, że nie były to ruchy robotników ani chłopów. Na marginesie tego obrazu można zastanowić się jak przedstawiała się owa kwestia podziału na społecznie dwie Polski w latach 1956, 1968, 1970, 1980 i od 1981 do dziś. Innym zagadnieniem ówczesnej i dalszej historii jest postawa inteligencji. Zaremba przytacza obserwacje czy to Franciszka Ryszki, czy Leona Chajna, odnoszące się do lat 1944–1947, pokazujące, jak moc-

no byli oni zszokowani niektórymi praktykami władz. Pozostali jednak blisko nich, Chajn nawet w ścisłej elicie. Przypominam sobie, jak to pewien średnio-wyższy funkcjonariusz partyjny, jeszcze z KPP, opowiadał mi, rzecz jasna *ex post*, o odczycie, który za wczesnej PRL miał dla szerokiej publiczności. Ktoś z audytorium zadał mu pytanie. Na przerwie do mojego rozmówcy podszedł ubek, który zapytał: „Czy towarzyszu życzy, by pytającego zatrzymać od razu, czy później?”. Rozmówca opowiadał mi to z oczywistym potępieniem, podkreślając swoje ówczesne oburzenie. Powinienem być go zapytać, dlaczego zatem nadal wygłaszał swoje odczyty. Nie zapytałem — może też przez konformizm. Niektóre zjawiska, znane z późniejszej PRL, w latach 1944–1947 miały swoje korzenie. Zaremba ciekawie pokazuje, że sprawa kolektywizacji była już wówczas przemyślana przez chłopów, a zatem strach i opór chłopski w 1949 roku były już tylko kontynuacją postawy bezpośrednio powojennej. Od siebie dodam, że ciekawe byłoby prześledzić także wpływ stażu w ZSRR, jaki odbyło wielu Polaków, na późniejszy strach przed kolektywizacją czy przed innymi zjawiskami. Intelktualiści, którzy zahaczyli o sowiecki Lwów, zaskakująco uwierzyli, że w Polsce będzie lepiej. Czy jednak było wielu takich?

Powojenne sprawy Żydów, Ukraińców i Białorusinów do dziś nie są rozwiązane. O pierwszych i drugich dużo mówi się w tej chwili. Jednak dotyczy to także Białorusinów — przez długie lata nie udawało się w Białymstoku zbudować pomnika Prawosławnym Mieszkańcom Białostocczyzny Zabitym, Zamordowanym i Zamęczonym w latach 1939–1956³. Sprawa „żołnierzy wyklętych” do dziś jest żywa. Od bezapelacyjnego potępienia przeszliśmy do prawie bezapelacyjnej hagiografii. Zaremba pokazuje natomiast jak to wszystko było wówczas trudne i niejednoznaczne. Nie zostanie za to polubiany

³ Agnieszka Nowakowska, „Konflikt pamięci grupy większościowej i mniejszościowej. Spór o budowę pomnika Prawosławnym Mieszkańcom Białostocczyzny Zabitym, Zamordowanym i Zamęczonym w latach 1939–1956 w Białymstoku”, praca magisterska napisana pod kierunkiem Marcina Kuli w Instytucie Historycznym UW, rok akadem. 2010/2011.

² M. Zaremba, *Komunizm, legitymizacja, nacjonalizm. Nacjonalistyczna legitymizacja władzy komunistycznej w Polsce*, ISP PAN-Trio, Warszawa 2001 (2 wyd. 2005).

przez większość dzisiejszej opinii. Wizja, którą przedstawia, nie pasuje do dominującej wizji historii martyrologiczno-bohaterskiej. Spadkobiercy „żołnierzy wyklętych” nie polubią obrazu, w którym rozmywa się granica między szlachetnością a bandytyzmem. Można zrozumieć, dlaczego tak się działo, i autor zajmuje się także tym — ale tak się działo. Pozostaje przypomnieć deklarację autora, że rozumienie nie jest dlań synonimem usprawiedliwienia kogokolwiek i którejkolwiek ze stron (s. 17: „Książka powstała w duchu historii rozumiejącej, które to słowo nie jest synonimem usprawiedliwienia”). Od siebie dodam, że francuskie przysłowie *tout comprendre c'est tout pardonner* (zrozumieć to wybaczyć) jest nieprawdziwe.

Jako opracowanie „Wielkiej Trwogi” książka trafi nie tylko na półkę historii Polski, ale też na wciąż niestety raczej luźną u nas półkę z książkami o historii mentalności. Problemowe ujęcie analizowanych zagadnień to wielka zaleta książki Zaremby. Jego perspektywa obejmuje podobne zjawiska z różnych okresów i różnych terenów. Wystarczy wspomnieć tytuł książki nawiązujący do znanego w historiografii właśnie pod nazwą Wielka Trwoga zjawiska poprzedzającego Rewolucję Francuską.

Zaremba rozpatruje swoją tematykę w szerokiej perspektywie historii oraz przez pryzmat różnorodnej literatury przedmiotu. Widzi, że migracje nieraz zrywały spontanicznie wyrostę między ludźmi siatki społecznej pajęczyny. Widzi, że odmienianie wówczas przez wszystkie przypadki słowa „krew” nie było wyjątkowe w dziejach, podobnie jak niechęć do Żydów. Widzi, że nieraz w historii granica ruchu buntowniczego i bandytyzmu zacierała się, zresztą nieraz też podczas okupacji (mimo wysiłków AK przeciw jej zacieraniu się).

Zaremba pamięta o zjawisku „Janosików” — bandytów wymierzających sprawiedliwość (czasem rzeczywiście ją wymierzających, a częściej jedynie w legendzie). W trochę znanych mi dziejach Brazylii miejscowymi „janosikami” byli *cangaçeiros*. Jak niedawno to się działo, niech świadczy fakt, że najbardziej znany wśród nich Lampeão został schwytany dopiero w latach trzydziestych XX wieku. Niedawno chciano mu

postawić pomnik; nie wiem, jak sprawa się skończyła.

Analizowany przez autora szaber, czyli rabunek rzeczy nie swoich, wynikał nie tylko z wyzwolenia złodziejstwa w sytuacji braku kontroli, z wielkich potrzeb rynku, z przetarcia drogi przez Niemców wobec własności cudzej, zwłaszcza żydowskiej... Wynikał nie tylko z patriotycznego charakteru niejednego rabunku za okupacji, czy z tego, że także instytucje państwowe niejedną rzecz potrzebną zdobywały na ziemiach zachodnich (także Instytut Historyczny UW zdobywał tam książki)... Nie tylko z tego, że państwo zabierało i dystrybuowało własność niemiecką — do teoretycznego spłacenia kiedyś przez beneficjentów (ale chyba nikt nigdy za to nie zapłacił)... Nie tylko z tego, że Armia Radziecka konfiskowała i po prostu rabowała własność niemiecką. Nie tylko z poczucia, że przecież Niemcy nas obrabowali, więc coś powinni spłacić. Nie tylko z tego, że nie od razu było wiadomo, czy Ziemia Zachodnie będą polskie, czy niemieckie... Szaber wynikał także z zadawnionego podejścia do własności niczyjej lub/i porzuconej (co przekładało się na domniemanie, że jeśli ja nie wezmę, to inni wezmą).

Oczywiście, autor koncentruje się na swoim przedmiocie, ale wie, że lepiej rozumie się przedmiot analizy, gdy patrzy się na szersze jego przejawy. Książka reprezentuje zaś historię rozumiejącą — co autor sam zadeklarował w zdaniu wyżej przytoczonym. Oczywiście, każdy fragment prowadzonej przez Zarembę analizy można rozbudowywać w kierunku gromadzenia kolejnych przejawów zjawiska. Autor przedstawia wiarę wielu ludzi, że na jesieni 1946 roku dominacja PPR, a pewno i ona sama, się skończy. Inną formą zaklinalnia rzeczywistości — co autor oczywiście widzi — była wiara w trzecią wojnę światową. Mnie natomiast takie myślenie życzeniowe skojarzyło się z wierzeniami Afroamerykanów i Afrobrazylijczyków, że wrócą do Afryki — choćby po śmierci. Zdarzyło mi się kiedyś uczestniczyć w jakiejś murzyńskiej ceremonii, której zresztą nie rozumiałem, odbywającej się na plaży w Rio de Janeiro — na plaży, bo za oceanem jest Afryka (a więc byliśmy już blisko?).

Bardzo ciekawe są rozważania Zaremby o drogach ludzkiego myślenia: jego obserwacja, że po doświadczeniach drugiej wojny ludzie byli gotowi po prostu uwierzyć we wszystko. Bliski mi człowiek opowiedział mi kiedyś, jak to przed wojną został pobity przez „narodowców” za to, że „chodził” z Żydówką. Dodał: nawet wtedy przez myśl mi jednak nie przeszło, że to może się skończyć masowym przepuszczeniem ludzi przez komin. Okazało się, że tak niewyobrażalna rzecz była możliwa. Myślę, że do uwarunkowań dróg myślenia trzeba jednak dodać całkowicie nieprzewidywalną sytuację powojenną, brak racjonalnych przesłanek do podejmowania decyzji o własnym życiu... Jeden z bohaterów niedawno odnalezionego utworu Jerzego Kowalskiego *Babie lato*, opisującego wychodźców z Warszawy przycupniętych gdzieś po Powstaniu, odzywa się: „Mieszkamy przy drodze, którą przechadzają się dwa mocarstwa. Czy to był partyzant bolszewicki, czy nasz?”. Na to pada odpowiedź: „Rosyjski. Teraz przyszli Niemcy i każą się częstować chlebem i wódką. Skąd my nastarczymy? Wczoraj ludzie z lasu zabrali całe pieczywo”⁴.

Na dodatek dodajmy jeszcze, dopóki wojna trwała, dopóty takie i podobne rzeczy akceptowano łatwiej niż po jej zakończeniu. W zaistniałej sytuacji łatwo było z jednej strony o wiarę w trzecią wojnę i Polskę, która wyjdzie z niej zwycięska, a z drugiej — o paniki żywnościowe. Łatwo było uwierzyć, że Matka Boska płakała w Lublinie i w to, że Żydzi utoczyli krew chrześcijańskiego dziecka na macę (zwłaszcza gdy, o czym mówi Zaremba, wiadomo było, że żołnierze sowieccy porywali — wprawdzie nie na macę — kobiety i dziewczynki, a plotka mogła takie wypadki rozdmuchiwać). Różne lęki przeżywała wówczas cała Europa i, najpewniej na tym tle, wszędzie wówczas wzrósł poziom agresji, także interetnicznej. Co jednak trafnie zauważa Zaremba, w Anglii lub/i we Francji nie występowała pustka władzy lub/i brak jej legitymacji.

Ogromną zaletą książki jest w końcu wykorzystanie wiedzy nagromadzonej przez różne dyscypliny szeroko rozumianych nauk spo-

lecznych. Mają one wpływ na koncepcję książki, gdyż raczej jak one niż jak historiografia autor wychodzi od problemu (problemów) i zastanawia się nad sensem stosowanych pojęć. Zaremba zna tezy funkcjonujące w literaturze poza-histerycznej. Jego książka jest naprawdę interdyscyplinarna. Owe inne dyscypliny też z pożytkiem z niej zresztą skorzystają — jeśli oczywiście nie staną na stanowisku, że coś warte są jedynie badania oparte na próbie reprezentatywnej lub wyniki uzyskane w ramach eksperymentu o zmiennych kontrolowanych. Przecież tak jak historycy wzruszają najczęściej ramionami na to, co mówią inne dyscypliny o przedmiotach ich badania, tak owe dyscypliny znajdują swoje powody, by nas przesadnie nie poważać. Książka Zaremby pokazuje, że świat humanistyczny z powrotem może stanąć na nogach — czyli być jednością.

Książka może być użyteczna zarówno do refleksji nad zjawiskami lęku lub/i strachu jako takimi, jak i po dorzuceniu szczegółowego materiału do ogólniejszej refleksji na różnych polach. Zaremba w swoim badaniu sięga do porównywalnych zjawisk z innych czasów i terenów, a także sam dostarcza materiału dla cudzych badań. Jego obserwacja o rozchodzących się plotkach, jakoby Rosjanie mieli aplikować Polakom zastrzyki na bezpłodność i dosypywać trucizny do szczepionek, koresponduje z wielokrotnie pojawiającymi się w dziejach sygnałami o rzekomym zatruczeniu studzien przez przedstawicieli znienubianych grup, dosypywaniu substancji powodujących bezpłodność do chleba sprzedawanego przez piekarzy z takich grup itd. Z kolei inicjatywa, by w witrynach sklepów szcześcińskich wywieszać napisy „Zatrudniamy tylko personel polski” (czyli: nie niemiecki) miała swoje odpowiedniki równie dobrze w amerykańskich napisach z okresu masowej imigracji irlandzkiej „No Irish need apply”, jak w różnych napisach antyżydowskich w latach trzydziestych w Niemczech. Uwagi Zaremby o niejednokrotnie występującej niechęci ludności miejscowej do migrantów ze Wschodu, lub niechęci do warszawiaków w Katowicach (*nota bene* odwzajemnianej), dużo mówią o drogach formowania się narodu polskiego i stopniu zaawansowania tego procesu wówczas. Co nie najmniej ważne,

⁴ „Dialog” 2010, nr 10.

powszechne zdaje się fundamentalne dla rozważań Zaremby zjawisko oczekiwania na szczęście po przyjsciu zasadniczej zmiany i zjawisko późniejszego zawodu. Tak było po wielu momentach uzyskania czy odzyskania niepodległości. Tak było po wyczekiwanych zwycięstwach, czy po końcach różnych wojen. Zaremba przytacza słowa wypowiedziane przez Jana Patočkę po pierwszej wojnie światowej: „Ale — co najważniejsze — owa wojna nie skończyła się. Przeszła bowiem w specyficzny stan, który nie był ani wojną, ani pokojem” (s. 140). Zaremba odnosi je do stanu po drugiej wojnie, który sam analizuje. Obawiam się, że mógłby je odnieść do jeszcze niejednej sytuacji.

Książkę Zaremby uważam za nową zarówno jako monografię określonego okresu w naj-

nowszej historii Polski, jak i jako pozycję nową w polskiej historiografii. Mam na myśli nie tylko okoliczność, że książka traktuje o strachu, o którym wielu prac nie ma. Mam na myśli rodzaj podejścia i typ analizy. Określam tę książkę jako wybitną. Wiem, że jest to ryzykowne. W Polsce młody historyk nie może być wybitny — a młodym pozostaje się u nas prawie do emerytury. Niedawno omal nie doprowadziłem do klęski pewnego średnio młodego historyka, gdy jego występ określiłem jako wybitny. Znaczna część audytorium, które decydowało o jego dalszych losach, przystąpiła do przeciwstawiania się mojej opinii, a część, szczęśliwie jednak mniejsza, do głosowania przeciw. Mimo tej nauczki i mimo że dobrze życzę Marcinowi Zarembie, określiam jego książkę jako wybitną.

BRONISŁAW GOŁĘBIEWSKI
Warszawa

DIARIUSZE POLSKICH PISARZY XX WIEKU

Dzienniki polskich pisarzy XX wieku stanowią bogaty i oryginalny dział piśmiennictwa. Przyciągają uwagę wielu interpretatorów reprezentujących różne dyscypliny humanistyki: literaturoznawców i językoznawców, socjologów i antropologów, historyków i prasoznawców. Dzienniki wybitnych pisarzy, prowadzone przez nich przez całe życie lub w określonym okresie biografii, okazują się niesłychanie wdzięcznym i owocnym materiałem badawczym, najczęściej w całości dostępnym i pozwalającym na weryfikację tez interpretatorów, są bowiem upowszechnione w postaci drukowanych publikacji.

Materiałów takich jest wiele. Trzeba tu wymienić dzienniki Stefana Żeromskiego, od których ta fala w badaniach się rozpoczęła, następnie dzienniki Zofii Nałkowskiej i Marii Dąbrowskiej, a także Witolda Gombrowicza i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. I wielu innych twórców, których zapiski dopiero teraz ukazują się drukiem, na przykład Sławomira Mrożka czy

Stanisława Lema. Nie trzeba specjalisty w tej dziedzinie, wystarczy być zapalonym czytelnikiem diariuszy pisarzy i innych sławnych osób, by stwierdzić, jak różne w treści i formie są to zapisy czy wręcz utwory literackie.

Aby nie być gołosłownym, przypomnę niektóre studia krytyczne oparte na takich źródłach. Przede wszystkim szerokością i oryginalnością teoretyczno-metodologiczną imponuje Maria Czermińska w studium *Autobiograficzny trójkąt. Świadectwo, wyznanie i wyzwanie* (Kraków 2000). Inspirujące są interpretacje Reginy Lubas-Bartoszyńskiej *Między autobiografią a literaturą* (Warszawa 1993). Wśród wcześniejszych studiów z lat siedemdziesiątych zwracają uwagę rozprawy i szkice historyczno-literackie Henryka Markiewicza *W kręgu Żeromskiego* (Warszawa 1997), Jerzego Kądzeli *Młodość Stefana Żeromskiego* (Warszawa 1979) i Jana Kucharskiego *Twórczość Stefana Żeromskiego w latach 1882–1895. Dzienniki, opowiadania, nowele* (Gdańsk 1974). Z nowszych studiów bardzo interesujące są antropologiczne ujęcia Andrzeja Mencwela *Przedwiośnie czy Potop. Studium postaw polskich*

Adres do korespondencji: mirajaw@go2.pl